TOŻSAMOŚĆ · RECENZJA

CITIZEN VIGILANTE, CZYLI SZERYF BEZ SUMIENIA W ŚWIECIE BEZ BOGA

Jan Hucuł · 1 lipca 2026

Recenzja głośnego filmu Uwe Bolla.

Jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni.

J.W. Goethe, *Faust*

W świecie, w którym dominuje kino gatunku, a niekończące się serie filmowe próbują wycisnąć z widza ostatni grosz, rzadko mamy możliwość obejrzeć film, który pozostawia w nas tak silne emocje, że nie wiemy co ze sobą zrobić. I bynajmniej nie chodzi o przeżyte katharsis, które odmienia nasze życie i skłania do refleksji, ale o ścierające się ze sobą skrajne odczucia, z którymi nie potrafimy sobie poradzić i które nie chcą ulecieć. Są one jednocześnie pobudzające i przerażające – jakbyśmy patrzyli na jakąś nieznaną nam siłę lub potężne zjawisko pogodowe.

Dlatego, drogi czytelniku, zadaj sobie pytanie, kiedy ostatni raz widziałeś film, o którym możesz powiedzieć, że jest jednocześnie tak dobry, że byś go polecił znajomym i tak zły, że byś zwyzywał reżysera za to, jak go nakręcił? Kiedy ostatni raz spotkałeś głównego bohatera, który w umyśle buduje szacunek, a w sercu strach? Przy którym jednocześnie czułbyś, że nic ci nie grozi i bałbyś się z nim rozmawiać? Kiedy oglądałeś film, w którym pokazano tak wiele, a nie opowiedziano tego, co najważniejsze? Kiedy w końcu miałeś poczucie, że oglądasz coś tak niepoprawnego, że wydaje się przestępstwem o tym myśleć, a jednocześnie czujesz jakby objawiała ci się jakaś długo skrywana prawda, którą czułeś podskórnie, ale której nie chciałeś brać pod uwagę?

Taki jest właśnie najnowszy film Uwe Bolla pt. *Citizen Vigilante*, obok, którego nie da się przejść obojętnie, a który w tej recenzji spróbujemy prześledzić pod kątem ideowym. Ostrzegam! Będzie dużo spoilerów!

Manifest alternatywnej prawicy

Citizen Vigilante zdobył błyskawiczną sławę dzięki swojej niepoprawnej politycznie fabule. Opowiada on historię samotnego mściciela wymierzającego sprawiedliwość w świecie, w którym na taką nie można już liczyć. Jednak nie jest to historia Batmana z Gotham, który walczy ze złym Jokerem, ani Robin Hooda z Lasu Sherwood, ale brutalnie bliska nam opowieść o współczesnej Europie zalewanej przez fale imigrantów i rządzonej przez demoliberalne elity niezdolne do ochrony własnych obywateli.

Uwe Boll w swoim filmie przekracza tabu, które dotychczas nie było głośno wypowiadane w świecie ki-

nematografii i robi to z impetem. Nie niuansuje, nie pokazuje dobrych muzułmanów i złych białych policjantów, nie usprawiedliwia okrutnych zbrodni trudnym dzieciństwem, a w roli głównej, jako ostatniego sprawiedliwego, nie osadza czarnoskórego aktora, lecz Armiego Hammera – kontrowersyjnego aktora o aparycji SS-mana, który w nieodparty sposób budzi skojarzenia z Andersem Brevikiem. W końcu, Boll nie wskazuje na korupcję, bezsilność, indywidualne charaktery czy spisek obcych sił jako źródło dziejących się krzywd, ale na systemową zgodę na zło, za którą w równym stopniu odpowiadają hordy islamskich imigrantów, demoliberalne rządy i system sądowniczy przeżarty ideologią „praw człowieka".

Już samo to może budzić zaciekawienie i niepokój. Reżyser tworzy opowieść, w której na pierwszy rzut oka dobro i zło są jasno określone i intuicyjne – wręcz tak oczywiste, że człowiek zastanawia się, dlaczego słyszy o tym po raz pierwszy. Jednak na tym nie kończy i idzie o krok dalej mówiąc – masz prawo się bronić, masz prawo oczekiwać sprawiedliwości, masz prawo, by zło zostało ukarane, by „tak" znaczyło „tak", a „nie" znaczyło „nie". Innymi słowy – masz prawo żyć, masz prawo walczyć, to jest twoje miejsce, twój kraj, twoje rodziny i twoja przyszłość.

A póki się na to nie odważysz, to zsyłamy ci Michael Sandersa – głównego bohatera filmu, który będzie czynił sprawiedliwość za ciebie. Nie powinno zatem dziwić, że w ekspresowym tempie film ten staje się manifestem kulturowym alternatywnej prawicy na całym świecie, a to jedynie nakręca jego sławę.

Citizen Vigilante jest w pewnym sensie deklaracją wojny. Ma mocny przekaz i w oczywisty sposób musi budzić niepokój, iż stanie się inspiracją do podobnych działań w prawdziwym świecie. Daje się to wyczuć niezależnie od poglądów politycznych. Zapewne z tego powodu jego wyświetlanie zostało właściwie zakazane w Niemczech (nota bene – ojczyźnie reżysera), co wywołało skutek odwrotny od zamierzonego. W reakcji na te działania film został polecony przez Elona Muska i jest dostępny za darmo na platformie X, na YouTube i wielu innych platformach społecznościowych, docierając do wielokrotnie szerszego grona odbiorców.

> **Urywki z filmu osiągają milionowe wyświetlenia na Instagramie i stają się powoli dziełami kultury masowej. Zainteresowanie filmem jest tak duże, że szybko staje się on numerem 1 pod względem popularności na platformie Amazon i numerem 2 na Apple TV. Niemiecka partia AfD zapowiada jego pokaz w Bundestagu, a Dominik Tarczyński przerabia plakaty z głównym bohaterem, wklejając na nie swoją twarz...**

Nietzscheańska prawica

Warto jednak zadać sobie pytanie, jaki przekaz ideowy niesie ze sobą ten film? Czy jest to naprawdę historia bohatera, który walczy ze złem jako ostatni sprawiedliwy? Czy mamy opowieść o rycerzu? Albo jakiś mit chrześcijańskiej rekonkwisty? Bynajmniej.

Citizen Vigilante to zasadniczo film ery postchrześcijańskiej. Nie ma w nim Boga, nie ma w nim wartości transcendentalnych ani wielkich ideologii. Myli się zarówno ten, kto twierdzi, że główny bohater zabija, by przywrócić jakiś tradycyjno-konserwatywny ład Europy, jak i myli się również ten, kto twierdzi, że zabija on w imię fanatycznych, okołofaszystowskich idei. Jeśli Michael Sanders miałby być krzyżowcem z pra-

wicowych memów, to raczej takim z IV krucjaty. Niemniej wątki tego typu są tu zupełnie nieobecne i – jak się wydaje – jest tak nie dlatego, że je celowo przemilczano, ale dlatego, że w ogóle przestały być one elementem imaginarium świata zachodniego.

Paradoksalnie, jedyną ideologią, której obronę wyraża sam bohater jest... demoliberalizm. W scenie, w której zabija imigrancką rodzinę gwałciciela, przedtem prowadzi z nimi dialog na temat wartości demokratycznych i tego, że religia nie może stać z nimi w sprzeczności. To samo wygłasza na swoich nagraniach wypuszczanych do sieci i w rozmowie z głównym antenatem – policyjnym śledczym, który broniąc tych samych wartości postrzega je jednak przede wszystkim w kategoriach ładu zastanego w obecnej, niedoskonałej formie.

> **Jeśli zatem „Gazeta Wyborcza" ogłasza, że oglądanie tego filmu „odbiera człowieczeństwo i wiarę w ludzkość", to należy to skwitować wprost – drodzy redaktorzy z Czerskiej, oto dziecko poczęte z waszych starań – nawet jeśli nie do końca planowane.**

I tu należy wytłumaczyć coś, co pozostaje zupełnie poza świadomością zarówno prawicy, jak i lewicy w Polsce, i z czym zderzamy się brutalnie w filmie. Mianowicie, również sama prawica zachodnia często jest już zupełnie postchrześcijańska. Partie narodowe mówią o kulturze chrześcijańskiej w oddzieleniu od faktycznej wiary. Odwołaniami do religii operują na poziomie społecznym, a nie metafizycznym – nie mają przecież problemu z tym, by ich liderzy byli seryjnymi rozwodnikami czy homoseksualistami. Kultura chrześcijańska pozostaje dla nich pewnym imaginarium łączącym wyobrażenia o Europie sprzed okresu masowej imigracji, z pewną jej ludowością, swojskością i społeczeństwem wysokiego zaufania. Staje się ona zatem zupełnie dyskursywna i bez faktycznego zakorzenienia – tym samym instytucjonalna altprawica jest czystej krwi dzieckiem postmodernizmu.

Podobnie jeśli zejdziemy na poziom prawicy internetowej i zapoznamy się z ukazującymi od mniej więcej dekady kultowymi pracami prawicy ideowej, ale tej niechrześcijańskiej i nietzscheańskiej, takimi jak *Harassment Architecture* Mike'a Ma, nietrudno nam będzie dojść do wniosku, że na świecie wytwarza się coś, czego nie potrafimy opisać językiem dostępnym w polskim dyskursie politycznym, a czego jedną z najsilniej wyłaniających się cech jest poczucie frustracji i niemocy.

Kiedy u nas nadal wrogiem numer jeden w dyskursie lewicowych socjologów i dziennikarzy jest „katotaliban", to dookoła naszych granic i na Instagramie gra wesoło *Erika*, a holocaust przestaje być tematem tabu – nawet nie jest podważany, on po prostu staje się ignorowany. W warstwie memów, żartów, relatywizmu i powszechnego sarkazmu umiera mit założycielski postmodernizmu. Nie wyłania się jednak z niego społeczeństwo otwarte, które przepracowało swoje traumy, ale społeczeństwo w traumie narzuconego mu wstydu. I ono zaczyna mówić „dość" – nie czuje się winne tego, co mu się zarzuca, za to dostrzega brutalny fałsz tych, którzy je pouczali. Taki jest właśnie kontekst filmu.

Paradoksalnie zatem, najważniejszym przekazem ideologicznym filmu *Citizen Vigilante*, a jednocześnie zupełnie pomijanym w dyskusjach na jego temat, staje się przestroga – w miejscu strachu przed Wyobrażonym pojawia się Realne, którego można się bać, a którego wielu z nas nie dostrzegało.

Krzyk o sprawiedliwość

> **Gdybyśmy jednak na tym strachu zakończyli, to otrzymalibyśmy zwykłe demoliberalne pouczenie przed groźbą nowych totalitaryzmów. Byłoby ono nie tylko przesadzone, ale również płytkie. Skupilibyśmy się na potencjalnych skutkach bez wskazania ich przyczyn. Film Uwe Bolla przemawia do odbiorców z taką siłą i zdobywa taką popularność nie przez to, że opowiada jakąś heroiczną historię lub tworzy jakiś piękny mit, ale właśnie dlatego, że jest niezwykle przyziemny i wyciąga na wierzch długo skrywane emocje wielu Europejczyków. Czują oni, że w końcu ktoś opowiedział ich historię i zwizualizował ich głęboko skrywane żądze. Tym bardziej staje się on przestrogą – krzyczy, że nad społeczeństwem wisi lodowy nawis, który w każdej chwili może się urwać i wywołać lawinę, jeśli wy – politycy, sędziowie i policjanci – nic z nim nie zrobicie.**

Dla osoby żyjącej w demoliberalnej bańce historie pokazane w filmie mogą wydać się śmieszne i hiperboliczne. Sam film zaczyna się od sceny, w której idąca ulicą matka z dzieckiem zostaje dźgnięta w szyję przez ciemnoskórego imigranta – zupełnie bez powodu, ten ostatni po prostu wyciąga nóż, wbija go kobiecie w szyję i idzie sobie dalej, bez oglądania się wstecz. Ktoś powie – co za bzdura. Problem w tym, że taka „bzdura" się naprawdę wydarzyła, o czym w wywiadach mówił sam pytany o inspirację reżyser. Sytuacja dotyczyła nie matki idącej z dzieckiem za rękę, ale ojca prowadzącego wózek z niemowlakiem w środku i miała miejsce w Salisbury w Wielkiej Brytanii w 2023 roku. Podobnie masowy gwałt na 14-letniej dziewczynce w parku dokonany przez grupę nastoletnich imigrantów, którzy otrzymali śmieszne wyroki, a w uzasadnieniu sąd podkreślił, że sami są ofiarami systemu – to nawiązanie do historii, która miała miejsce w Hamburgu w 2016 roku. W tym samym mieście w 2021 roku doszło do kolejnego, jeszcze brutalniejszego, grupowego gwałtu w parku na 15-latce. Podobnych historii przecież można by przywoływać wiele. Tak samo historie gangsterskie czy chuligańskie, które pokazano w filmie – one nie muszą mieć swoich konkretnych pierwowzorów, bo są elementem codzienności państw zachodnich. To, co jest zmyślone, to sprawiedliwość, która jest wymierzana – z tą mamy rzadko do czynienia.

I tu zaczyna się klucz do emocji w filmie. Trafia on do widza, w którym od dawna gotuje się złość i żądza zmiany. Jak się okazuje, po niebywałym sukcesie filmu – takich jest wielu. Sprawiedliwość, którą wymierza główny bohater rzadko jest ślepa – jest pożądana przez ofiary. Przykładowo, jedna z ofiar gwałtu pytana przez bohatera czy chce sprawiedliwości – potwierdza, że tak. Tym samym to, co się wydarzy, stanowi skutek jej decyzji, a Sandersa, który jest tylko wykonującym ją narzędziem. Tego samego oczekuje wspomniana już wcześniej nastolatka. Widzimy ją w ostatniej scenie, gdy ogląda wiadomości telewizyjne ze swoim ojcem, trzyma go za rękę, a na jej twarzy maluje się widoczna satysfakcja – satysfakcja z widoku, że jej oprawcy i rodziny są wynoszeni martwi. Film daje upust emocjom człowieka ery postchrześcijańskiej. Nie ma w nim miłosierdzia, nie ma nadstawiania drugiego policzka, nie ma biblijnego przebaczania 77 razy – jest śmierć za gwałt, odpowiedzialność zbiorowa, karanie sędziowskiej niesprawiedliwości i łamanie rąk za bezsensowną przemoc wobec słabszych.

To podejście przedstawione w filmie budzi niepokój widza. Karuzela emocji sprawia, że co chwila skaczemy między poczuciem, że wydarzyło się to czego byśmy żądali, co było oczekiwane, że sprawiedliwość

naprawdę zaszła, a poczuciem, że zaczynamy wątpić, czy aby na pewno tak powinno być. Czy za gwałt i śmiesznie niski wyrok rzeczywiście należało zabić całą rodzinę nastoletniego gwałciciela? Nie tylko jego, ale również jego ojca, matkę i siostrę? Zaczynamy mieć wątpliwości, bo odpowiedzialność zbiorowa obca współczesnemu człowiekowi. Wtedy odbywa się dialog, który uświadamia nam, że gwałt nie był wypadkiem, ale elementem systemowego wychowania młodego degenerata – wychowania w wartościach islamskich, których nie da się połączyć z systemem demoliberalnych wartości państw zachodnich. Tym samym wychowaniem przeżarta jest cała rodzina, włącznie z nastoletnią siostrą gwałciciela. Podobnie zabójstwo sędziego – jego decyzja i uzasadnienie de facto zwolnienia gwałcicieli z odpowiedzialności woła o pomstę do nieba. W tym świecie nie ma jednak nieba i nie wyczekamy pomsty – możemy ją jedynie sami wymierzyć. Czujemy jednak niepokój odnośnie tego, czy kara jest proporcjonalna do win.

Ktoś oglądający ten film powie, że jest on przerażającą wizją bezsensownego okrucieństwa, pochwałą prawicowej przemocy, mokrym snem odradzającego się faszyzmu lub antydemokratyczną propagandą. A ja zapytam – i co z tego? Dlaczego wizja tego, co się może wydarzyć, przeraża nas bardziej niż fakt tego co się dzieje? Odsetki gwałtów w Europie wyskoczyły poza skalę, niekontrolowane przez administrację dzielnice, gangi imigranckie, handel ludźmi i narkotykami rozprzestrzenił się tak bardzo, że nikogo to nie dziwi. Trzeci świat stał się światem równoległym państw zachodnich. Doprowadziło to do sytuacji, takich jak w Wielkiej Brytanii, gdzie przez lata ukrywano imigranckie gangi pedofilskie, których ofiarami padło nawet 250 tys. dzieci. System nie tylko nie dawał sobie z tym rady, ale wielokrotnie tworzył mechanizmy obezwładniania ofiar i krycia przestępców.

Może zatem czas zadać sobie inne pytanie.

> **Czy jest to świat lepszy niż ten przedstawiony w filmie? Czy nad krzykiem gwałconych grupowo dziewczynek unosił się akurat duch „społeczeństwa otwartego" czy „banalność zła"? Czy Michael Sanders ma budzić nasze obrzydzenie, bo dostrzegamy w nim cechy osobowości autorytarnej? Jeśli tak, to jakie cechy dostrzegamy w oprawcach? Jaką mamy teorię polityczną, która opisze nam zachodzące zjawiska? Gdzie podziali się badacze zła i przemocy, którzy przez dekady tłumaczyli nam, jak działa świat?**

Musimy pamiętać, że Weimar już raz upadł. Nie dokonały tego jednak siły z kosmosu, ale siły wewnętrzne, karmione bezsilnością i frustracją. Film Uwe Bolla jest jedynie współczesną przestrogą.

Szeryf bez sumienia

Opowiadając nieco więcej o samym filmie, należy podkreślić, że najważniejszym elementem wpływającym na jego odbiór i niejednoznaczność jest rola głównego bohatera. Jest to w zasadzie film jednego aktora – inne postaci mają znikome znaczenie dla kształtowania się fabuły czy dla finalnego odbioru. Nie jest to film artystyczny, więc nie ma sensu rozwodzić się nad kunsztem aktorskim lub jego brakiem. Warto jednak skupić się na kreacji, za którą odpowiada być może w większym stopniu scenariusz niż sam aktor.

Gdyby chcieć porównać głównego bohatera do jakiegoś typu ze spektrum politycznego, to najbliższym

odpowiednikiem wydaje się... libertarianin. Posiada on liczną kolekcję broni i jest wyszkolony w jej używaniu. Wygłaszane przez niego manifesty skupiają się wokół wolności osobistej jednostki i demokracji – prawa do chodzenia, ubierania się i życia, tak jak się chce, w sposób, który nie narusza wolności innych jednostek. Wyraża on ład społeczny oparty nie na więzach międzyludzkich czy jakiejś formie wspólnotowości, ale na prawie i społecznym poczuciu sprawiedliwości. Jednocześnie operuje specyficzną, liberalną definicją tego drugiego – sprawiedliwość wymierza tylko zgodnie z wolą ofiar, które jej nie otrzymały. W końcu – wyraża on typowo liberalne poczucie zagrożenia przed państwem w sposób oczywisty traktując je jako systemowego wroga.

W filmie uderza nas wielokrotnie nierówne zachowanie bohatera – choć jest w stanie zabijać sędziów za wydawanie niesprawiedliwych wyroków, to jednocześnie potrafi też pouczać grupę młodych chuliganów w kwestii społecznych konsekwencji jazdy na gapę: „Jeśli 10% osób nie zapłaci za bilet, to reszta będzie musiała zapłacić 10% więcej i to jest nie fair". Tego typu monologi i pouczenia nadają mu nieco autystycznego charakteru. Bohater jest niczym maszyna bez emocji i serca, a to budzi niepokój u widza.

Co jednak najważniejsze – nie mamy do czynienia z rycerzem ani nawet próbą jego kreacji. Choć wspomniane już hasła sprawiedliwości padają wielokrotnie z ust bohatera, to obserwujemy również u niego widoczne cechy psychopatyczne. W filmie co najmniej kilkukrotnie widzimy zachowania, które rodzą w głowie widza myśl, że mamy do czynienia ze złym człowiekiem przedstawianym jako ten dobry. Budzi emocjonalną karuzelę. Nasz bohater zupełnie celowo i z premedytacją doprowadza do katastrofy drogowej, w której giną zupełnie niewinne osoby – nie tylko się tym nie przejmuje, ale nadaje temu zjawisku wątpliwego, ideologicznego charakteru. Również scena, w której brutalnie i zupełnie bezsensownie morduje cały oddział policjantów próbujących go schwytać, by po chwili spokojnie uciec ukrytym wyjściem, rodzi pytanie o sens tych działań. Sprawiają one jednak, że widz nie jest w stanie na Sandersa spojrzeć z sympatią tak po prostu, jak się patrzy na bohaterów filmów hollywoodzkich. W nim kryje się zło. Jest ono głębokie, pierwotne, nieco zwierzęce i psychopatyczne. On tego zła na co dzień nie okazuje, nie jest maniakiem, działa z wyrachowaną precyzją i spokojem, starając się racjonalizować wszystkie swoje działania. Niektórych jednak zracjonalizować się nie da i to rodzi w widzu poczucie zagrożenia – chcemy by bohater wygrał, ale nie chcemy, by robił to takimi metodami i takim kosztem. Nie mamy jednak tego wyboru, bierzemy całość lub nic, przez to wielu widzów pozostaje w emocjonalnym zawieszeniu, które każe zadać sobie pytanie o nasz własny system wartości i granice postępowania.

Historia słabo opowiedziana

Na koniec warto oczywiście opowiedzieć jeszcze o samej warstwie filmowej. Tu przychodzi moment na ostrzeżenie widza – nie przed brutalnością scen, nie przed dyskomfortem emocjonalnym, ale przed jakością. Obiektywnie *Citizen Vigilante* to film słaby pod względem kinematograficznym, co zresztą jest wizytówką reżysera. Nie trzyma się klasycznych schematów narracyjnych, takich jak struktura trzyaktowa czy podróż bohatera, przez co wydaje się momentami... tani.

Dwie największe zbrodnie filmowe tej produkcji to: luki fabularne i sceny komicznej brutalności. Najważniejszą i trudną do wybaczenia luką fabularną filmu jest brak historii głównego bohatera. Obserwujemy jego działania, ale nie poznajemy jego motywacji. Nie wiemy, co skłoniło go do podjęcia takich kroków. Czy jakieś życiowe doświadczenie? Trauma? Może psychopatyczny charakter? Reżyser nie daje nam żadnych wskazówek, obserwujemy jedynie przystojnego mężczyznę o nienaturalnym spokoju, który wymie-

rza sprawiedliwość, a czasami popełnia zbrodnie. Dodatkowo utrudnia to nawiązanie relacji emocjonalnej z bohaterem. Takich luk fabularnych jest jednak więcej – pozostawienie ciała sędziego na fotelu pasażera podczas, gdy mieliśmy mieć do czynienia z pozorowanym samobójstwem, brak jakichkolwiek mechanizmów ochrony tożsamości w stylu rękawiczek, czy zakryć twarzy, a w końcu mamy do czynienia z serią nagrań, które wyglądają jak filmy z przesłuchania, podczas gdy bohater wcale nie został złapany.

Powadze filmu nie pomagają efekty specjalne, szczególnie te użyte w brutalnych scenach. Z jednej strony można by się tego spodziewać po reżyserze filmów takich jak *Postal*, z drugiej – jeśli chciał opowiedzieć poważną historię o tym co dzieje się obecnie w Europie, to sceny głów wybuchających jak arbuzy na kreskówkach wcale nie pomagają i wytrącają widza z immersji.

Inspiracja czy ostrzeżenie?

Podsumowując recenzję, film *Citizen Vigilante* jest filmem wartym obejrzenia. Nie jest to jednak kino łatwe i przyjemne, a widz przyzwyczajony do hollywoodzkich produkcji i tradycyjnej ścieżki narracyjnej może przeżyć zawód samą warstwą kinematograficzną. Bez wątpienia jednak jest to film, o którym będzie głośno jeszcze przez długi czas, a z którego wycinki staną się elementami narracji kulturowej alternatywnej prawicy na świecie.

> **Choć prosta warstwa fabularna filmu na pierwszy rzut oka nie musi budzić uznania, a z głównym bohaterem ciężko jest jednoznacznie sympatyzować, to film ten mówi bardzo dużo o współczesności, a być może również o nadchodzącej przyszłości.**

W życiu nie mamy sytuacji jak z dziecięcych bajek o złych smokach i dzielnych rycerzach, a prawdziwi bohaterowie rzadko trafiają na ołtarze za swoje cnoty. Na którymś etapie każdy powinien zadać sobie pytanie, po czyjej stronie ostatecznie stanie mając dwa nieidealne wybory: czy po stronie ofiar wraz z mścicielem mającym wiele na sumieniu, czy po stronie systemu kryjącego oprawców? Łatwo jest stać z boku i nie podejmować decyzji, co jednak jeśli życie nas do tego zmusi?

Film Uwe Bolla dla jednych może stać się inspiracją, dla innych będzie ostrzeżeniem. Dla wszystkich, którzy podejdą do niego na poważnie, będzie jednak pouczeniem.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=UVtDA-UhGmE

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/citizen-vigilante-czyli-szeryf-bez-sumienia-w-swiecie-bez-boga-recenzja/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć